

## Rozdział VII

### Aż do zwycięskiego końca

Czytałem w czyichś wspomnieniach z czasów Rewolucji Październikowej o takim incydencie: Lenin wizytował rewolucyjny pułk polskich ułanów. Powitania, przemówienia, nastrój uroczysty. Wreszcie wódz proletariatu przechodzi wzdłuż szpaleru żołnierzy. W pewnym momencie rozlega się trzask szabel. I oto setki obnażonych kling jak srebrzysty potok podnoszą się nad głową gościa. W pierwszym momencie zaskoczenie i nawet przestraszenie. Oczywiście, zrobiono to, aby uhonorować dostojnego gościa. Gdy Lenin ochłonął z wrażenia, powiedział:

- Wy, towarzysze Polacy, żyć nie możecie bez efektu.

Właśnie. Fantazja polska lubi efekty, które nie zawsze kończą się tak niewinnie, jak ten wyżej opisany. Takie, brzemiennie w niezbyt korzystne następstwa zdarzenie nastąpiło w naszym oddziale na odpuscie koło Bystrzaku.

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Odpust był uroczysty, znaczna część mojego oddziału była już pięknie umundurowana i uzbrojona, prezentowała się znakomicie. Serca nam wszystkim rosły. Cóż, kiedy wraz z plutonem, z którym sam wybrałem się na odpust, był też pluton od „Harnasiów” pod dowództwem por. Ostoi<sup>1</sup>.

Niektórych z naszych ludzi poniosła fantazja.

Gdy po Mszy Św. I po poczęstunku, przygotowanym przez zaprzyjaźnionych górali, zaczęły się rozmowy naszych partyzantów z ciekawskimi uczestnikami odpustu, języki rozwiązały się. Nie wiem, komu przyszło do głowy rozpuścić wiadomość, że jesteśmy Brygadą Karpacką spuszczoną z Anglii na spadochronach, że posiadamy tankietki górskie, co to prawie na Giewont mogą się wdrapać, działka polowe, że... No i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Konsekwencje tej niewinnej, zdawałoby się, paplaniny dały się odczuć po paru dniach. Wiedziałem, że Niemcy szykują się do uderzenia; jeszcze przed owym sławetnym odpustem pod Bystrzakiem Niemcy siłą mniej więcej jednego plutonu z karabinami maszynowymi próbowali nas niepokoić i zaszli nawet dość daleko w rejon Hali Malinowej; zostali jednak przez wysłany im na spotkanie pluton pod dowództwem Dana przegonieni; żałowałem nawet, że Danowi tak łatwo udało się ich odeprzeć, planowaliśmy bowiem wciągnięcie atakujących w głąb naszych pozycji i okrążenie, a potem rozbitcie.

Ale teraz, gdy się rozeszła wieść o „Karpackiej Brygadzie”, którą usłużyli informatorzy (takich niestety nie brakowało) musieli przekazać Niemcom, rzecz nabrała całkiem innych proporcji.

Dnia 13 października, około godziny trzeciej nad ranem, zostałem zaalarmowany niedobrymi wiadomościami.

- Komendancie – szef kompanii Flis<sup>2</sup> targał mnie za ramię, chcąc obudzić z głębokiego snu – komendancie, proszę wstać, dzieje się coś niedobrego!

W krystalicznej ciszy poranka, kiedy echo idzie po górach daleko i mocno, rozlegał się jakiś stłumiony szum. A jednocześnie meldowano mi, że od strony zachodniej nadciągają siły niemieckie, że od strony wschodniej idą czołgi i samochody pancerne, że od północy...

Szybko dosiadłem konia, uzbroiłem się w silną lornetkę i zacząłem objeżdżać nasze pozycje. W brzasku wstającego dnia widać było sylwetki niemieckie – potwierdzały się meldunki. Zapachniało bitwą w okrążeniu.

---

<sup>1</sup> Ostoja – Jan Kiedrzyński, por. rez., b. D-ca plut. W oddziale „Harnasie” – obecnie mieszka w Słupsku

<sup>2</sup> Flis – Józef Flisiński, ppor. W st. Spocz., od września 1944 do zakończenia walk oddziału „Chełm” – nieoceniony szef kompanii. Po wyzwoleniu komendant Pow. MO w Makowie Podhalańskim – obecnie mieszka w Bielsku.

Na Hali Malinowej siedzieliśmy nie my jedni. Był także wspomniany oddział radziecki „Walka” pod dowództwem płk. Kalinowskiego, było także zgrupowanie Armii Krajowej „Harnasie” oraz „Podgórze-Huta” pod dowództwem kpt. Szarego - Dziadka<sup>3</sup>. Szybko zwołaliśmy naradę wojenną. Zaczęliśmy analizować informacje, a przede wszystkim zastanawiać się nad przypuszczalną siłą wroga. To, co mogliśmy dostrzec sami i co wynikało z informacji naszych łączników, wskazywało, że jest co najmniej ze cztery tysiące żołnierzy dysponujących ciężką bronią, że idą na nas wielką podkową oraz że od południowej strony istnieje pas wolny, wiodący w stronę gór – na Słowaczczyznę, na Zakopane – które ewentualnie można się wycofać.

Walczyć czy zarządzić odwrót? Nie, nie będziemy się bawić – uradziliśmy zgodnie – w obronę Częstochowy. Niemiecka przewaga w samych ludziach jest dziesięciokrotna, a cóż mówić o ciężkim sprzęcie. Tym bardziej, że nad naszymi głowami zaczął krążyć samolot Fieseler-Storch, wyraźnie współdziałający z atakującymi Niemcami.

Później okazało się ( gdy po wypadkach przeprowadziliśmy rozpoznanie tego, co zaszło ), że nasze początkowe diagnozy były zbyt optymistyczne. Niemców było nie cztery tysiące, ale co najmniej sześć i bitwa, gdybyśmy ją przyjęli, skończyłaby się niechybnie naszą zupełną zagładą.

Tak rozpoczęliśmy odwrót w kierunku na Babią Górę, poprzez Halę Śmietanową. Do styczności bojowej z Niemcami nie doszło; oni szli pod górę, w stronę Hali Malinowej, mieli dobre kilkanaście kilometrów ubezpieczonego marszu, co w górskich warunkach musiało potrwać kilka godzin. Nasze oddziały koło południa uformowały się do odwrotu; poprzedzała je straż przednia z por. Jędrzejewskim na czele, niezawodnym nie tylko w zakresie wysadzania mostów, ale także w warunkach trudnego, wymagającego dobrego rozpoznania marszu przez góry. Tak więc, gdy Niemcy osiągnęli swój punkt docelowy, zastali tylko resztki naszych obozowisk. Ofiarą ich furii padło trochę zabudowań ( których wypalone ślady można oglądać na Hali Malinowej po dzień dzisiejszy ) no i , niestety, jeden z naszych łączników, który się jakoś zawieruszył i którego Niemcy, najzupełniej słusznie zresztą, podejrzewali, że był jednym z tych, którzy uprzedzili partyzantów o ataku. Został zamordowany.

Szliśmy cały dzień i całą noc; o świcie znaleźliśmy się na terytorium słowackim. Zналиśmy dobrze formalistyczny sposób rozumowania i postępowania naszych przeciwników. Generalna Gubernia – to jedno dowództwo, Słowaczczyzna – to drugie. Niemcy przeznaczeni do działania na terytorium jednego obszaru pilnie przestrzegali, aby nie wkroczyć w zakres kompetencji innych ugrupowań i innych dowództw. Przejście zatem granicy oznaczało zmniejszenie szansy dalszego pościgu.

Teraz zaczęły się gorączkowe narady. Co dalej? Czy wracać z powrotem, czy przedzierać się do Jugosławii do marszałka Tito?

Rosjanie byli najkonsekwentniejsi. Przeznaczono im teren działania? Przeznaczono. No, to nie ma żadnych dyskusji. Widząc nasze niezdecydowanie i gorączkowe narady, zabrali się i poszli do swojego rejonu.

U nas naradzano się, dyskutowano, dzielono oddziały na tych, którzy myśleli o partyzantce Tito, i na tych, którzy chcieli wracać na teren Polski. Atawizm sejmikowania dał o sobie znać w najmniej stosownej porze.

Ostatecznie jednak nie poszliśmy do Tity, bo przekonawszy się, że Niemcy odeszli z naszego rejonu operacyjnego, zdecydowaliśmy się wrócić do Polski, i tak nasz „exodus” zakończył się około 20 października.

Nie będę tutaj przytaczać różnych dalszych szczegółów zdarzeń (nawet ciekawych), jakie zaszły po naszym wkroczeniu na teren Polski. Przejdę od razu do tego, że wraz

---

<sup>3</sup> Szary – Dziadek – kpt. Rez. Wenancjusz Zych, jeden z pierwszych konspiratorów w Żywcu, wielce zasłużony w pracach i walce na terenie regionu Babiogórskiego, b. D-ca oddziału partyzanckiego „Podgórze-Huta”. Wspomniany w wielu publikacjach historycznych o działalności konspiracyjnej Okręgu Śląskiego.

z Jędrzejewskim i innymi moimi partyzantami postanowiłem zająć się przeprowadzaniem za linię frontu w Słowacji dwóch radzieckich oficerów – Gruzinów. ( Jeden z nich był kpt. Artylerii radzieckiej, nauczyciel matematyki w szkole średniej – Aleksander Samsonowicz Baranidze ). Gruzini ci byli w niewoli, potem w armii Własowa, wreszcie przeszli do partyzantki i chcieli teraz przedostać się do regularnych wojsk radzieckich, aby zameldować wykonanie jakiejś misji. Obiecali nam za pomoc w przedarciu się solidny zrzut broni. Zachęcony tą propozycją – oczywiście za zgodą dowódcy batalionu – udałem się osobiście z nimi, aby im dopomóc. Przez czas mojej nieobecności, mającej trwać dwa tygodnie, dowództwo nad „Chełmem” objął mój zastępca por. Sulima.

Cała ta historia, nazwana wśród moich partyzantów „wyprawą pod Moskwę”, spowodowała pewne rozprężenie oddziału. Gdy wróciłem w początkach grudnia, nie zastałem najlepszej sytuacji. Brak większych akcji i pewne zadrażnienia w stosunkach z partyzantką radziecką odbiły się na morale żołnierzy.

Kiepski nastrój poprawiło mi trochę uroczyste przyjęcie mnie przez żołnierzy. Nie minęły dwie godziny od powrotu, gdy zjawił się u mnie Żuk<sup>4</sup>, adiutant, zastępca i w ogóle prawa ręka płk. Kalinowskiego.

- Ot widzisz, Boruta, niepotrzebnieś poszedł z tymi Gruzinami. Trzeba było trzymać się z nami. Roboty co niemiara, mieliśmy dużo zrzutów z materiałem wybuchowym, mosty trzeba wysadzać, Niemców niepokoić, a tymczasem nic się nie dzieje. – Pochylił się ku mnie i konfidencko dodał: - A właściwie, prawdę mówiąc, nie tylko, że się nic nie dzieje, ale nawet dzieje się źle. Ot, o tobie mówią, że zdezerterowałeś z Armii Krajowej i poszedłeś do wojsk radzieckich rzucając oddział, a tu podobno nawet wyrok na ciebie wydali. U nas też kłótnie z niektórymi waszymi kolegami; wiecie, radio mamy wspólne, ja siedzę, słucham Moskwy, przychodzi Sulima, bez słowa przekręca gałkę i włącza Londyn. Drobiaz to, wspominać aż wstyd, a serce boli.

Rzeczywiście, atmosfera nie była najlepsza. Szóstego grudnia 1944 r. w Stryszowie wyznaczono odprawę kadry batalionu. Zjawiłem się tam wraz z por. Rosomakiem, dowódcą ósmej kompanii naszego batalionu. Stół zastawiony gościnnie, ale w powietrzu atmosfera lodowata, jakby koledzy odsuwali się ode mnie.

Niedobrze – myślę – jak wojsko stoi w bierności i oczekiwaniu, wtedy przychodzą do głowy najbzdurniejsze plotki i pomysły. Ale jak wybrnąć?

Na szczęście nie musiałem długo sobie zaprzętać głowy odpowiedzią na to pytanie. Zjawił się dowódca pułku Dąb. Rozpromienił się na mój widok, podszedł z serdecznie wyciągniętą ręką i jakby zwracając się do kogoś, kogo nie chciał wymienić z imienia i nazwiska, powiedział ciepłym, spokojnym i zniewalająco życzliwym głosem:

- A widzicie, widzicie. Zawsze mówiłem, że Boruta nas nigdy nie zawiedzie.

Ociepliło się, rozchmurzyło się. Odprawa i przyjęcie, które zorganizowano na jej zakończenie, odbyły się w atmosferze odprężenia i powracającej wzajemnej ufności. Nigdy nie starałem się dociekać kulis tego wszystkiego, co w czasie mojej – przyznam, nie najbardziej sensownej – nieobecności, związanej z transportowaniem Gruzinów do linii frontu, zaszło. Są pewne sprawy w życiu, których zanadto dociekać nie warto.

Warunki zimowe wymagały nowej organizacji oddziału. Postanowiłem pluton „Kurniawa” pod komendą niezawodnego Jędrzejewskiego ( który zmienił pseudonim na Kurzawę ) rozlokować w rejonie Zakopanego. Warto wspomnieć, że Niemcy wyznaczyli za jego głowę niebagatelną wówczas sumę 30 000 marek. Tak bolały ich te mosty wysadzone we wrześniu. Pluton „Lawina” pod dowództwem ppor. Baryłki<sup>5</sup> poszedł w rejon Szytkowic.

---

<sup>4</sup> Żuk – Żuk Konstantyn Piotrowicz, st. Lejtn. – obecnie lek. Med. W Mirgorodzie. Pisał też o nim w „Pięciu mostach” inż. Tadeusz Studziński

<sup>5</sup> Baryłka – Czesław Sularz, por. rez., b. D-ca plutonu „Lawina” w oddziale „Chełm” – obecnie mieszka w Lewinie Brzeskim woj. wrocławskie

Dwa pozostałe plutony: „Halniak” pod dowództwem sierż. Prusowa oraz „Chełm” (9 pluton sztabowy), którym bezpośrednio kierował st. Sierż. Flis, łączący te obowiązki z obowiązkami szefa kompanii, pozostawiłem przy sobie i rozlokowałem w Kojszówce – tej samej, w której rozegrała się nasza pierwsza, nieudana akcja bojowa na załogę niemiecką strzegącą mostu.

Płk Kalinowski z częścią swojej grupy gdzieś się oddalił, pozostawiając mi do współpracy Żuka wraz z grupą pozostałych radzieckich partyzantów. Teraz zaczął się nowy okres wzmożonej działalności; odtąd wraz z Żukiem trzymaliśmy się nierozdzielnie. Jeszcze przed świętami zorganizowaliśmy wyprawę na duży, piękny, betonowy most w Lubieniu, w pobliżu skrzyżowania drogi z Zakopanego do Nowego Sącza.

Spadł głęboki śnieg, a na domiar złego po północy zakręciła się zadymka. Kilkanaście kilometrów zrobiliśmy pieszo, część końcową drogi – sankami. Z kopyta przejechaliśmy przez wieś Lubień, gdzie w szkole zakwaterowany był oddział niemiecki.

Ubezpieczyliśmy drogę z obu stron. Żuk z kilkoma chłopcami ruszył ku przęsłom mostu. Brodząc po pas w śniegu niósł 80 kilogramów trotylu (co najmniej tyle było potrzeba dla szarpnięcia solidnie zbudowanym, betonowym mostem drogowym). Doszli do rzeki, potem, jeden drugiego podsadzając, zaczęli wspinać się po ażurowej kratownicy. Nie zazdrościłem Żukowi i pomagającym mu polskim i radzieckim partyzantom tej wspinaczki po oblodzonym betonie, ale trudno, nikt z nas nie obiecywał sobie słodkiego życia.

Wokół panowała cisza. Najmniejszego śladu Niemców. Żeby ubezpieczającym Żuka i jego ekipę chłopcom nie nudziło się na mrozie, kazałem zająć się piłowaniem słupów telefonicznych i telegraficznych biegnących wzdłuż szosy. Zerwanie łączności to deser, uzupełniający podstawowe danie dla Niemców, którym będzie wysadzenie mostu.

Po kilkudziesięciu minutach znalazł się przy mnie Żuk. Trzymał w ręku koniec białego sznura z zapalnikiem.

- No... – tu padły nareszcie żołnierskie słowa, raczej nie nadające się do druku – zaczynam!

Staliśmy około 200 metrów od mostu. Najpierw buchnął olbrzymi blask w ciemne, prószące śniegiem i nawisłe chmurami niebo. Potem odczułem coś takiego, jakby ktoś z całego rozmachu uderzył mnie w piersi, podmuch. I równocześnie most zaczął rosnać w oczach, wyginać się do góry i właśnie wtedy usłyszałem huk.

Ładny kawał roboty – pomyślałem, widząc rozwalone kontury mostu. – A teraz z powrotem! Droga wiodła przez ten sam Lubień, gdzie w szkole był zakwaterowany oddział niemiecki. Było niemożliwe, żeby Niemcy nie słyszeli detonacji. Pewnie alarm, może trzeba będzie przebijać się przez wieś z bronią w ręku, sprawdziliśmy nasze automaty, karabiny, pistolety, granaty ręczne.

Na sanki i w konie. Wpadamy do wsi, dobre kilkaset metrów trzeba było przejeżdżać przez zwartą zabudowę. Pełni napięcia, trzymamy broń gotową do strzału.

Ale cóż? Cisza, martwa cisza w całym osiedlu. Z porannego mroku wylaniają się zarysy szkoły. Nic, spokój, mają dobre sny, a może to tylko strach przed partyzantami?

Patrzymy uważnie. Przed szkołą stoi budka wartownika, w niej Niemiec z karabinem, pewnie zobaczył już nadjeżdżające sanie. Teraz już nie mamy najmniejszej wątpliwości, wartownik schował się, żeby czego nie oberwać. Skoro nie zrobili wcześniej alarmu, po detonacji, to teraz będą siedzieć jak trusie i Bogu dziękować, że ich nie atakujemy.

Ktoś z siedzących na saniach pochyla się ku mnie:

- Panie komendancie, a może by tego strażnika wykończyć?
- Co za dużo, to niezdrowo. Innym razem.

Wracamy do Kojszówki. I tu wywiązuje się krótka, ale przykra dyskusja.

Wyjeżdżając wydałem rozkaz pozostałym w Kojszówce, żeby pod dowództwem Prusowa spalili most drewniany w Osielcu. Po prostu przewrócić na moście wóz ze słomą, podlać to wszystko benzyną, przytknąć zapałkę – i wio, powinno się palić. Byliśmy

przekonani, że równocześnie zniszczenie dwóch mostów będzie miało dobry efekt taktyczny.

Tymczasem figa z makiem. Czy most zbyt wilgotny, czy słoma nie tak jak trzeba rozrzucona, czy wreszcie benzyna za mało – różne hipotezy się krzyżowały – dość, że Prusow zadania nie wykonał.

Impulsywny Żuk zaczął krzyczeć:

- Co tam słoma, co tam benzyna, co tam wilgoć! Mówmy uczciwie, nie wykonaliście roboty, jak trzeba...

Tamci unieśli się honorem. W powietrzu wisiała awantura, powiedziałem więc coś pojednawczego i wszyscy zgodzili się, że trzeba ponowić próbę.

Tym razem zrezygnowaliśmy ze słomy i benzyny. Obliczyliśmy, że powinno wystarczyć ostatnie 40 kilogramów trotylu.

I znów marsz nocny, ubezpieczenie po jednej i drugiej stronie rzeki, Żuk – jako doświadczony miner – drapie się razem z chłopcami na przęsło, rozkłada materiał wybuchowy, ciągnie biały sznur ku mojemu stanowisku, żołnierze wycofują się na bezpieczną odległość.

Grobowa cisza. Chmury rzedną, na niebo wschodzi księżyc, jest coś urzekającego w tym krajobrazie, którym za chwilę wstrząśnie wybuch. Żuk bierze zapalnik do ręki, już chce wypowiedzieć swoje niezbyt cenzuralne słowa, będące czymś w rodzaju zaklęcia, gdy chwytam go za rękę:

- Poczekaj, poczekaj, Żuk!

Kładę palec na ustach. Trzeba nasłuchiwać. Tak, rzeczywiście, z daleka, z daleka coś jakby nadciągało z tamtej strony rzeki. Odgłosy rosną, jakby wozy i jakby jakaś rozmowa – gardłowa, krzykliwa, niewątpliwie niemiecka.

Czekamy. Śnieg na moście zachrząścił. Wozy i ludzie – już nie ma wątpliwości, to Niemcy – posuwają się ku miejscu, gdzie założono ładunki trotylu. Żuk nie zdążył zakląć, naciska zapalnik. Znany obraz: ogromne jezory ognia wznoszą się ku grudniowemu niebu, most podnosi się jak pierś głęboko oddychającego człowieka, gwałtowny podmuch i ogłuszający, powtarzany przez pasma górskie dziesiątkiem ech, huk eksplozji.

Wróciliśmy na pozycje przed świtem i zaraz pchnęliśmy nasze łączniczki, bodaj Hanke<sup>6</sup> i Borówkę<sup>7</sup>, aby rozejrzały się i zameldowały o wynikach akcji. Że most poszedł w drzazgi, o tym wiedzieliśmy, ciekawiło nas jednak, ilu zabitych Niemców uświetniło ten nasz sukces.

Łączniczki miały szczęście, dotarły na miejsce, zanim Niemcy uprzątnęli zabitych. Naliczyły dwadzieścia dwa trupy, rozrzucone siłą wybuchu na resztkach mostu. Ilu wpadło do wody i w ten sposób uszło naszej statystyce, trudno powiedzieć.

Minęło parę dni. Otrzymałem meldunek, że Niemcy zabrali się do odbudowy mostu, to pomyślna wiadomość, oznacza bowiem, jak potrzebny był im ten obiekt, ale nie wystarczy cieszyć się, trzeba coś zdziałać.

Żuk wpadł na kapitalny pomysł. Wykonamy demonstrację za pomocą partyzanckiej artylerii.

- Co to takiego? – pytam nieco zdziwiony, przecież nawet ciężkiego karabinu maszynowego nie posiadamy, cóż mówić o artylerii.

- Ano zobaczysz – powiada Żuk.

I rzeczywiście zobaczyłem. Lufę karabinu wstawia się do piasty koła od zwykłego chłopskiego wozu. Powstaje coś w rodzaju garłacza. No i strzela się. Skutek? Zwyczajny, tak jak przy strzale karabinowym. Ale jaki huk! Jakby kto z lekkiego działka dawał ognia.

<sup>6</sup> Hanka – Anna Drózdź – obecnie żona mjr. Rez. Stanisława Drózdza

<sup>7</sup> Borówka – Zofia Mazurkiewicz, łączniczka oddziału „Chełm” – obecnie nauczycielka w Technikum Odzieżowym w Gdyni

Na tamtym brzegu rzeki w Osielcu Niemcy postawili oddział wojska, mający ubezpieczać odbudowę mostu. Kierujemy się tam. Znowu noc, śnieg, chmury ciągnące po niebie. Nasza „artyleria” rozpoczyna ogień w stronę Niemców. A kilka grupek pozoruje atak z różnych stron.

Nie liczyliśmy, oczywiście, na złamanie niemieckiego oporu. Ich siła ogniowa była znacznie większa, poza tym mieli doskonale warunki obrony. Nasz cel był inny: zdezorientować Niemców zmusić ich do zaangażowania większych sił ochronnych przy odbudowie mostu. Front był już niedaleko i wiązanie sił nieprzyjacielskich na tyłach miało duże znaczenie taktyczne.

Rozszalała się wściekła kanonada, w której donośnym głosem rozlegały się dwie nasze „armaty”. Dudniło, aż sam miałem chwilami złudzenie, że to istotnie artyleria, a nie sprytny fortel z karabinem wkomponowanym w piastę.

Żuk dowodził zapleczem, ja poszedłem z ruchomymi grupami naprzód. Zapędziliśmy się dość daleko, w pewnym momencie jednak zaczęła grzmieć prawdziwa artyleria i sporo luf ciężkich karabinów maszynowych. To już nie był fortel, to była rzeczywistość.

Rozejrzałem się bystro wokół siebie. Równoległe do zniszczonego przez nas mostu biegł duży most kolejowy. Tędy przejechał – najpewniej wezwany przez zdezorientowanych naszą „artylerią” i ostrzałem prowadzonym z różnych kierunków Niemców – pociąg pancerny. Jego stalowe szare cielsko pełzło powoli w naszą stronę, błyskając iskierkami detonacji. To nie przelewki, mogą nam na głowę sprowadzić większą siłę. Susami zaczęliśmy się cofać i bez żadnych strat wróciliśmy na pozycje wyjściowe.

Niemcy bardzo poważnie potraktowali nasz wypad. Odtąd transporty kolejowe były prawie zawsze ubezpieczone przez pociąg pancerny, wzmocniono też siły osłaniające odbudowę zniszczonego mostu drogowego.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Zarządziłem koncentrację całego oddziału. Szczególnie pięknie prezentował się pluton „Kurniawa” dowodzony przez por. Jędrzejewskiego (Kurzawę), który nadciągnął z Zakopanego. W podniosłym nastroju, przy licznych toastach, przemówieniach i żołnierskim „kochajmy się”, w obecności wielu miłych pań, spędziliśmy razem wigilię. Sporo żołnierzy otrzymało krótkie urlopy, aby te, najwyraźniej już ostatnie wojenne święta spędzić na łonie rodziny.

Koncentracja oddziału znów zetknęła ze sobą starych kamratów od wrześniowych akcji na cztery mosty, Żuka i Studzińskiego. Wieczór przedsylwestrowy uświetnili oni nową „koprodukcją” ( a raczej właściwiej: „kodestrukcją”). Mianowicie wysadzili w powietrze duży trzyprzęsłowy most w Skawcach, na linii kolejowej Kraków – Zakopane.

Po Nowym Roku wzięłem dwunastu ludzi z lekkim karabinem maszynowym i ruszyłem w stronę Juszczyna. Szosa w pewnym miejscu pięknie zakręca, nad nią góruje wzniesienie, około siedmiuset metrów mocno zarosłego, ostro sfaldowanego terenu. Zatrzymaliśmy się na zboczu, wśród drzew usadowiliśmy się wygodnie, lekki karabin maszynowy i całą naszą „długą broń” zwróciliśmy ku szosie.

Łączniczka Hanka, z koszyczkiem w ręku, zgrabnie wyciągając nogi z dość głębokiego śniegu, schodzi w dół. Śledzimy wszyscy uważnie, jak zbliża się do szosy. Wśród kilkunastu par oczu jedna para patrzy ze szczególnym napięciem. Oczywiście to Prusow, Hanka jest jego narzeczoną.

Jest już na dole. Najbardziej niebezpieczna część zadania właśnie się rozpoczyna, Hanka otwiera koszyczek i wyciąga z niego gwoździe dywersyjne – trójkątne, przeznaczone do przebijania opon na szosie, jest najwyraźniej pochłonięta tą czynnością.

Patrząc uważnie, ale nawykłe do nasłuchiwania ucho może bardziej czuje, niż słyszy szum motorów. Nadjeżdżają. Ale cóż to? Hanka nie zwraca uwagi, co się z nią

dzieje? Może nie zdążyć! Pedantycznie rozsypuje gwoździe, widać wyraźnie, że się zastanawia, jak je najlepiej rozmieścić, żeby nie zmarnował się żaden.

Zza zakrętu wyskakuje motocykl. Na siedzeniu Niemiec w nasuniętym na oczy hełmie i z pistoletem maszynowym wiszącym na piersiach. Hanka w ostatniej chwili go spostrzega, jednym susem przeskakuje dość głęboki rów, oddzielający szosę od wzgórza, już zniknęła wśród choinek porastających zbocze. Niemiec najwyraźniej nie dostrzegł jej, pewnie dla ochrony przed wiatrem miał głowę nisko nachyloną.

W pewnym momencie motocykl zatańczył na szosie, Niemiec zręcznie manewrując uniknął wywrócenia się, zatrzymuje się, oczywiście dywersyjny gwóźdź musiał mu przebić oponę. Stoi na środku szosy, ogląda motor, odwraca się w stronę, z której przyjechał. Pewnie poprzedza jakąś kolumnę. Rzeczywiście, już zupełnie wyraźnie słychać zgiełk nadciągających wozów taborowych i samochodów, jedno zatrzymują się, drugie wymijają i jadą dalej. Staram się, aby wszystkie lufy skoncentrowały się na korku, który powstał na szosie. I półgłosem:

- Ognia!

Cóż za pech! Salwa przeraźliwa, ale nie celna. Za krótko mierzyliśmy, strzały posypały się kilkanaście metrów przed korkiem.

Wśród Niemców ożywienie. Nawet nie popłoch: pewnie byli przygotowani na tę ewentualność. Otwierają ogień w naszym kierunku. Dają komendę elkaemiście:

- Wal!

Rozlega się wśród gór szybkie gdakanie naszego karabinu maszynowego, strzela bez pudła, już widać skorygował celownik. Na drodze tworzy się kotłowanina ciał, wozów, motocykli. Nie widać dobrze, ale pewne, że Niemcy muszą mieć duże straty.

Wtedy huk i coś się koło nas zatrzęsło. Fontanna piasku zmieszanego ze śniegiem, jakieś gałązki i kamyki zabębniły po hełmach. Psiakrew – myślę – tak szybko uruchomili granatniki. Dobrze rozpoznali naszą pozycję.

- Chłopcy – komenderuję – ani jednego strzału więcej, szybko w odskokach do tyłu!

Poderwaliśmy się i w górę! Mieliśmy szczęście, decydowały dosłownie ułamki sekund, byliśmy już na szczycie wzgórza, kiedy z naszego poprzedniego stanowiska zrobiła się miazga. Niemcy walili granatami w miejsce, z którego do nich strzelaliśmy, doprawdy z fantastyczną precyzją. Gdybyśmy choć trochę zwłóczyli, nie zostałby z nas nikt. Widać, że natrafiliśmy na dobrze wyszkolony oddział frontowy.

Bilans tej akcji był dodatni. Oczekaliśmy trochę, spodziewając się, że wyślą w górę patrol rozpoznawczy, który zamierzaliśmy wciągnąć do walki. Nie zrobili jednak tego. Wracaliśmy bez żadnych strat, oni musieli mieć jakieś. Chcieliśmy je ustalić, ale pomyślałem, że nie warto narażać żywych ludzi dla jeszcze jednej pozycji w ewidencji.

Wreszcie runęła wielka radziecka ofensywa styczeniowa 1945 r. W okolicach zrobiło się tłoczno od przesuwających się na zachód – głównie przez Maków – Suchą – Bielsko – w kierunku Śląska wojsk niemieckich. Na górę Chełm, która była punktem wyjściowym naszego szlaku bojowego, zwała się ogromna liczba Niemców. Zaczęli fortyfikować ją ze wszystkich stron; mieli rację, tu można było istotnie stworzyć coś w rodzaju cytadeli dla powstrzymania prących na zachód wojsk radzieckich.

Ogarnął nas nastrój radosnego oczekiwania. Huk armat frontowych – który dotąd słyszeliśmy jakby zza horyzontu, jak pomrukiwanie potężnej, ale odległej burzy – stał się wyraźniejszy, konkretniejszy. W niebie huczały przelatujące ze wschodu na zachód i później z zachodu na wschód samoloty radzieckie – samoloty bombowe i szturmowe atakujące komunikację i koncentracje przeciwnika.

W tych warunkach doszło do naszej ostatniej większej akcji bojowej.

Coraz więcej wojsk niemieckich koncentrowało się w naszym rejonie. Radosny nastrój oczekiwania został nagle przerwany wiadomością, że Niemcy gwałtownie fortyfikują i minują obszar Zawoja – Sucha – Żąbkowice. Tu było przedpole granicy między Generalną Gubernią a Rzeszą Niemiecką. Tu również przyroda jakby zapraszała do stawiania oporu. Krajobraz górzysty, wykluczający większe użycie sił pancernych, ograniczający możliwość działania artylerii i lotnictwa. Kompanie saperskie wzmacniały te naturalne przeszkody przeszkodami sztucznymi: polami minowymi. Jeżeli jeszcze Niemcy zdążą wysadzić w powietrze mosty na urwistych i z trudem zamarzających rzekach, rozpoczną się walki o każdą piędź ziemi. Rosjanie będą musieli ponieść poważne straty, zanim pokonają przeciwnika. Byłoby to także katastrofą dla miejscowej ludności.

Żuk otrzymał więc od Kalinowskiego zadanie: zdobyć za wszelką cenę niemieckie plany fortyfikacji i pól minowych obszaru, aby umożliwić wojskom radzieckim przeprowadzenie niespodziewanego ataku, nim Niemcy doprowadzą do końca swoje przygotowania do obrony.

Rozumieliśmy doskonale znaczenie tego rozkazu, otrzymanego przez linię frontu, który przechodził już mniej więcej 20 kilometrów od nas. Ale jednocześnie: jak to wykonać?

Całymi godzinami dyskutowaliśmy – i nic. Żaden pomysł, żadna koncepcja nie przychodziły nam do głowy. Byliśmy szczerze zmartwieni, aż pewnego wieczoru zjawił się u mnie jeden z naszych wywiadowców, zziębnięty i wyraźnie podekscytowany.

- Panie komendancie – mówi, próbując z trudem złapać oddech – kupa Niemców...
- Co, gdzie, jak?
- Stanęli na folwarku w Wieprzcu, jacyś ważni, bo epolety mają kręcone, piękne samochody...

Drgnęliśmy z Żukiem jednocześnie. Wymieniliśmy spojrzenie: jasne, to chyba jakiś sztab niemiecki. Wysłałem Hankę, żeby bliżej rozeznała się w sytuacji.

Wróciła po paru godzinach z dokładnie ustalonymi informacjami: we wsi Wieprzec rozlokował się większy oddział niemiecki. We dworze zaś zatrzymali się oficerowie. Oddział, który obsadził wieś, był silną jednostką, nie mogło być nawet mowy, żeby go zaatakować.

Ale sztab pułku? Te kilkadziesiąt osób rozlokowanych na folwarku? Najprawdopodobniej wśród papierów sztabowych znajdowały się dokumenty, na których nam tak bardzo zależało. Jeżeli – uradziliśmy z Żukiem – uda się nam ich zaskoczyć, można uderzyć na folwark, zdobyć to, co jest konieczne, i wycofać się, zanim nadejdzie pomoc ze wsi.

Ruszyliśmy w nocy. Na czele głównych sił szliśmy razem z Żukiem; na prawo i lewo od nas szły grupy osłaniające, jedna – silniejsza, od strony wsi, gdzie obozował ten duży oddział niemiecki, druga słabsza, ze strony przeciwnej.

Przeszliśmy rzeczkę, mijamy most, Żuk idzie pierwszy, ja nieco za nim, cisza zupełna. Dwór coraz bliżej. W oknie słabo oświetlonym jakaś postać pochyla się nad stołem; pewnie nad tą mapą, na której zależy nam najbardziej. Czuję już radosny niepokój towarzyszący zbliżającemu się sukcesowi, kto wie, czy nie najważniejszemu w całej naszej „wojnie z Niemcami”; jeżeli uda się zdobyć te mapy i dokumenty, uratujemy życie co najmniej paru tysiącom radzieckich „bojów” i setkom Polaków, którzy niechybnie padliby ofiarą działań wojennych, gdybyśmy pozwolili Niemcom na ufortyfikowanie się i stawianie zaplanowanego oporu.

Raptem wśród głuchoj ciszy uderzyła seria z pepeszy. To przed Żukiem wyrosli jak spod ziemi trzej niemieccy żołnierze, patrol ubezpieczający sztab. Wyrosli tak zniechęceni, że już nie było czasu na ukrycie się, trzeba było otworzyć ogień.

Zimny pot mnie oblał. Donośnym głosem zakomenderowałem:

- Rebiata, w pierod, za rodinu!

To, że ja, oficer polski, do moich podkomendnych, polskich żołnierzy Armii Krajowej, zawołałem po rosyjsku, okazało się znakomite. Niemcy usłyszawszy rosyjską komendę

powzięli przekonanie, że bliski front został przerwany i że są atakowani przez regularne oddziały radzieckie. Wpadli więc w panikę.

Chłopcy tak też zrozumieli moją intencję. Z głośnym okrzykiem „Urrraa!” runęli do natarcia. Teraz zależało wszystko od tego, czy folwark będzie stawiał opór; jeśliby grupa oficerów z towarzyszącymi im żołnierzami zdecydowała się na obronę, cała nasza akcja wzięłaby w łeb, gdyż w kilkanaście sekund po serii, którą puścił Żuk w stronę owego patrolu, w pobliskiej wsi zaczął się ruch; zawarczały opancerzone transportery, jakieś tankietki, motocykle. Wszystko to ruszyło w naszą stronę na odsiecz sztabowi. Rzecz jasna, że musielibyśmy się natychmiast cofnąć, rezygnując ze zdobywania dokumentów, gdyż w przeciwnym razie cała akcja skończyłaby się wielką masakrą.

Niemcy na folwarku stawiali opór. Natychmiast odezwał się jakiś ciężki karabin maszynowy, przyciskający nas raz po raz do ziemi. Rozpacz ogarniała nas coraz większa; to nie żandarmi o zajętych sercach, przed nami stali świetnie uzbrojeni i przede wszystkim zaprawieni do walki żołnierze frontowi, o wiele bardziej wyszkoleni od moich chłopców, zaprawieni w twardej szkole wieloletniej walki. Nie tylko bronili się, ale także podejmowali coś w rodzaju kontrataku.

Tymczasem na prawym skrzydle wybuchła potężna kanonada. To nasz oddział osłonowy między wsią – gdzie ruszyła na odsiecz swoim sztabowcom główna siła niemiecka – a folwarkiem stawiał opór nacierającym transporterom opancerzonym i tankietkom. Jak długo mogą wytrzymać ten napór? Ile mamy czasu, żeby zdobyć folwark i dwór, chwycić dokumenty sztabowe i wycofać się z tym najcenniejszym w całej naszej karierze trofeum bojowym?

Z rozpaczą i determinacją idziemy do przodu. Niemiecki ogień się wzmacnia, widać, że ani myślą oddawać folwarku zbyt łatwo i zupełnie słusznie oczekują pomocy, o której zbliżaniu się muszą równie dobrze wiedzieć, jak my.

Ale oto między zabudowaniami folwarku miga jedna biała, trochę dziwaczna postać, potem druga... Przyglądam się uważniej. Nie, nie myli mnie oko. To Niemcy, pewno oficerowie, uciekają w białiznie. Milknie po chwili karabin maszynowy, to jakiś partyzant po mistrzowsku podszedł bardzo blisko i poczęstował go wiązką granatów. Już jesteśmy na podwórku, już wpadamy do domu.

W największym pokoju na stołach mapy, na mapach dwie czy trzy szklanki z niedopitą czarną kawą; w popielniczce tli się odłożone przed chwilą cygaro. Żuk ciekawie zaczyna przeglądać rozmaite dokumenty. Wpadam we wściekłość. Pakować, pakować! Też znalazł sobie czas na lekturę, będziemy czytać na miejscu, jak wrócimy.

Pakujemy do kufra sztabowego wszystko, co może mieć znaczenie. Najwyższy czas na odwrót, nadchodzi niemiecka odsiecz, już bezprzedmiotowa, bo sztab uciekł, ale przecież nadal groźna. Cofamy się.

Było to najdramatyczniejsze przeżycie z całej wojny. Na miejscu postoju rzucamy się do niemieckich dokumentów sztabowych. Czy znajdziemy to, co ma dla nas taką wagę?

Gorączkowo przerzucamy papiery, koperty, rozmaite dokumenty z groźnymi pieczęciami „tajne”, „poufne”, „tylko przez oficera”... Rośnie rozczarowanie. Najrozmaitsze papiery, najrozmaitsze mapy, ale tego, co potrzeba, ani śladu.

Tyle wysiłku, straty, ryzyko – i cały kufer z makulaturą, dobrą dla historyków, ale nie dla dowódców, którzy mają jutro atakować. Zastanawiam się, jak pocieszyć Żuka, który, jak widzę, bliski jest załamania nerwowego.

Żuk od niechcenia bierze jakąś paczkę do ręki i już, już ma ją lekceważąco cisnąć na stos sztabowych papierów, gdy w pewnym momencie iskra zapłonęła mu w oczach.

- Patrz, Boruta! Tu napisane: „rozpieczętować po dojściu do rejonu zakwaterowania...”

Nerwowo rozpieczętowuje. I znajdujemy pedantycznie, z niemiecką dokładnością, opracowany plan fortyfikacji i pól minowych naszego rejonu.

Bez słowa spojrzeliśmy na siebie i przez dłuższą chwilę pozostawaliśmy w takim pełnym radości milczeniu, radości tak wielkiej, że każde słowo byłoby bezradne, niepotrzebne, głupie.

Bez chwili zwłoki dokumenty idą przez front do radzieckiego dowództwa. Tam opracowują plan głębokiego desantu czołgowego i serii zaskakujących natarć, które mają udaremnić niemieckie plany obrony.

W parę dni później razem z Żukiem, obecnie już kpt. Konstantynem Piotrowiczem, idziemy do Osielca, tego samego Osielca, wokół którego tyleśmy walczyli. W drugiej od końca chałupie nad stołem zasłanym mapami pochyła się jakiś radziecki pułkownik. Meldujemy się. Pułkownik podnosi oczy, patrzy na czapkę Żuka:

- Towarzyszu kapitanie, a co to ma znaczyć?

Dopiero teraz zauważamy, że Żuk, obok odznaki radzieckiego partyzanta, przypiął wielkiego Białego Orła i w dodatku... z koroną!

Trochę stropiony wyjaśnia:

- Widzicie, towarzyszu pułkowniku, my tu z Polakami, z Borutą od długiego czasu... braterstwo broni... my bez nich niewiele byśmy zrobili.

Dodaje:

- A my bez nich, towarzyszu pułkowniku, też byśmy niewiele wskórali.

Pułkownik, starszy już człowiek, uśmiecha się szeroko, przyjaźnie:

- Rozumiem. Panimaju. Ale wsio taki, towarzyszu Żuk, musicie nosić radzieckie dystynkcje. A wy, Boruta, formujcie wasz oddział, wkroczycie razem z nami do Makowa. Należy się to wam.

W miasteczku biało-czerwone flagi. Ludzie płaczą. Ścisk, zamieszanie, podniecenie. Tu i ówdzie huknie strzał. Gdzieś jeszcze się trafiają niemieckie niedobitki. W wielkiej sali starostwa powiatowego zbiera się miejscowe społeczeństwo, ma się odbyć wiec. Rosyjski pułkownik zagaja. Jestem tak wzruszony, że nie bardzo rozumiem, co mówi. I w ogóle, co się dzieje. Ktoś delikatnie trąca mnie w ramię.

- Boruta, macie przemawiać...

To ma być pierwsze publiczne przemówienie w moim życiu. Wstaję, ruszam ku trybunie. Nogi pode mną miękną. W czasie najryzykowniejszych działań dywersyjnych i partyzanckich nie miałem takiego pietra jak teraz. Ale staram się wziąć w garść.

- Obywatele! Bracia! Jesienią 1939 r. powiedzieli nam, że nie ma Polski i już nie będzie. Mnie też tak przez jedną chwilę się wydawało. Ale teraz wiem i wiemy wszyscy, że Polska jest i będzie tak długo, jak długo serca Polaków będą żywe, odważne i godne... Cokolwiek się stało i cokolwiek jeszcze może się stać... Nie przerwaliśmy walki ani na moment. Teraz jest chwila radosna, ale czekają nas dni, miesiące i lata, kiedy może będzie trudno, może będzie ciężko. Będziemy niezłomni i twardzi, jak byliśmy...

Mówiłem coś jeszcze, podobno nieźle mówiłem, ale w pamięci mojej utkwił tylko ten początek.

I tak zakończył się wielki rozdział mojego życia. Potem nastąpiły dalsze. Niełatwe i ciekawe. Nasycone dramatycznymi i nieraz bolesnymi perypetiami, jakie stały się udziałem wielu żołnierzy Armii Krajowej. Degradacja i rehabilitacja. Rozmaite szykany, z osadzeniem w więzieniu włącznie, i pełne uznanie moich skromnych zasług w postaci krzyża *Virtuti Militari* V klasy, przyznanego mi przez Radę Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w r. 1964. Rozmaite przejścia w Krakowie i w Warszawie i wyjazd na Ziemię Zachodnie, gdzie działałem już od przeszło dwudziestu lat. Na moich oczach wyrosło, odbudowało się i niezwykle wypiękniało, zyskując poważną renomę w kraju, moje miasto, już prawie rodzinne, Słupsk.

W biurku mam plik listów. Od podkomendnych i przełożonych z Armii Krajowej. Od radzieckich przyjaciół, z którymi dzieliło się amunicją, broń ze zrzutów, dole, niedole,

nadzieje i zwątpienia: Konstantyna Pietrowicza Żuka, pułkownika Nikołaja Aleksiejewicza Kazina – owego Kalinowskiego – Piotra Braticza i wielu innych.

Mój ostatni szef kompanii Flis zrobił taki bilans działalności oddziału „Chełm”:

1. Zabitych w bezpośrednich starciach – 187 Niemców,
2. zniszczonych 9 mostów kolejowych i 2 drogowe,
3. rozbito więzienie w Zakopanem, (nie starczyło miejsca na tych kartkach dla opisu tej akcji),
4. zdobyto na nieprzyjacielu około 60 kb mauser i innych, 3 em-pi, 19 pistoletów i sporo amunicji,
5. zdobyto około 60 koni, 500 kg skór i wiele innych materiałów.

Kochany szefie! Jakież to niepełny bilans! Przez tyle miesięcy nękałiśmy Niemców i nie mieli oni dnia, ani godziny spokojnej – stale w naprężeniu, stale w pogotowiu i lęku. Nie obliczymy w cyfrach obniżenia się ich wartości bojowej na skutek tego, ale każdy wie, co to znaczy. A przecież również nieprzetłumaczalny w cyfrach jest nasz ostatni sukces, ten pod Wieprzem: zdobyte dokumenty – jak mówiłem – uratowały życie dobrym kilku tysiącom „bojów” oraz życie i dobytek setek rodzin polskich na terenie, który został zdobyty jednym śmiałym uderzeniem, a mógł stać się pobojowiskiem płonącym i krwawym.

Ale i to, drogi szefie Flis, nie jest najważniejsze. Minęły lata, pociski zardzewiały w ziemi, pogorzeliska zarosły trawą, pamięć gubi kształty i barwy tamtych miesięcy i lat i próżno wyobraźnia stara się je zatrzymać; czas jest nieubłagany.

Coś jednak z tamtych czasów pozostanie i nie przeminie. Cóż to takiego? Pisał pięknie kronikarz Bielski z w. XVII tak oto mniej więcej:

... że ziemia polska równinna jest i bezbronna. Ani góry jej strzegą wysokie, ani morza i rzeki głębokie. Komunikiem – powiada – za parę tygodni, ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód po tej ziemi przejechać można. I cóż by z tą ziemią było, gdyby nie chroniły jej od północy i południa, od wschodu i zachodu twierdze najpotężniejsze, jakie tylko są na świecie, którymi są odważne serca i prężne ramiona?

I to jest właśnie to, co z tamtych dni pozostanie, co nie przeminie, nie wsiąknie w piasek, nie rozpułynie się w niepamięci. To najważniejsza pozycja naszego bilansu bojowego: żeśmy wszyscy przygniecieni nieszczęściem, osaczeni przez tylokrotnie przeważającą przemoc obcą, nasyceni zwątpieniem, zatrutowani defetyzmem i zdradą – znaleźli moc w upadku i nadzieję w odwecie, i przyjaciół w boju, i przyszłość w zwycięstwie.

To właśnie, drogi szefie Flis, jest w tej całej historii najważniejsze.